



## PISMO TYGODNIOWE ILLUSTROWANE DLA KOBIET.

### Prenumerata w Warszawie.

We wszystkich księgarniach i kantorach pism peryodycznych po cenie rocznie rsr. 7 kop. 20; półrocznie rsr. 3 kop. 60; kwartalnie rsr. 1 kop. 80; miesięcznie kop. 60.

### Prenumerata w Cesarstwie i Krolestwie:

Kwartalnie rsr. 2 kop. 50; półrocznie rsr. 5, rocznie rsr. 10.

Wydawca **MICHAŁ GLÜCKSBERG.**

EXPEDYCJA GŁÓWNA W KSIĘGARNI WYDAWCY

Ulica Królewska Nr. 5.

W Cesarstwie Austriackiem we Lwowie u Gubrynowicza i Schmidta kwartalnie flor. 3; na prowincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 8.0  
W Krakowie: u D. E. Friedleina, kwartal. flor. 2 cent. 75 na prowincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 50.

W W. Ks. Poznańskim: u Leitgebera i Spół., kwartal. 5 marek

## KOLEŃDA.

Anioł pasterzom mówił: — Chrystus nam się na-  
[rodził,

Pan wszystkiego stworzenia!

Po srebrzystych promieniach gwiazdy schodził  
Z niebieskiego sklepienia.—

I jest z wami—gości wśród was na ziemi,  
Śpieszcie się, bo was czeka.

Jest tam miejsce między tłumy tęsknemi  
Dla wszelkiego człowieka.—

— Ale droga? Powiedz, jasny aniele!

Jaką jest owa droga?

Już ich ludzie udeptali tak wiele,  
Na któreż znajdują Boga?

Zali nie jest tą, wiodącą najprościej,  
Pokorna wiary ścieżka?

Na niej anioł nadziei i miłości

Wskazuje, gdzie Bóg mieszka.—

M. I.

## POGA WĘDKA.

Maluczko, a zabłyśnie gwiazdka Bożego Narodzenia, zapłoną światelka na choinkach, przed

szopką zabrzmią wesołe kolendy i zaczniemy łamać się opłatkiem, życząc sobie i dzieciom naszym tyłu, a tyłu rzeczy...

Kronikarze mają ten przywilej, że wolno im niekiedy wyprzedzać wypadki, zwłaszcza w takich razach, przed wielkimi świętami i wchodzić do domów swych czytelników, jak do domów swoich starych, dobrych znajomych i przyjaciół z życzeniami, z opłatkiem w rękę, z dobrem słowem na ustach.

Tylekroć korzystałem z tego przywileju, że i dzisiaj, choć święta dopiero w przyszłym tygodniu, choć ryby na wigilią pluszczą się jeszcze swobodnie po rzekach, a choinki dopiero z lasów zwozić zaczynają, idę do was z ręką wyciągniętą, niosę wam opłatek, a przy opłatku te stare, proste, dawne, ale najlepsze życzenia, któremi ludzie dobrej woli obdzielali się od wieków: „zdrowia, szczęścia, pomyślności!...”

Tego to zawsze najwięcej człowiekowi potrzeba; to jego największe dobro, a wszystko inne na tych trzech głównych węglach się opiera; można to piękniej, ozdobniej, frazesem wyrazić, ale w gruncie rzeczy wyjdzie na jedno, a w życzeniach prostota jest cechą szczerości.

Ilekroć zbliżają się święta Bożego Narodzenia, tyle razy żałuję moich lat dziecińczych — i zapewne nie ja jeden doznaję tych uczuć.

Dziś rozmarza mnie wspomnienie owej „gwiazdki,” którą aniołowie zapalali w mej wyobraźni na niebie i na ziemi w wieczór wigilijny, te tajemnicze głosy i śpiewy, które dziecięca naiwna dusza słyszała w przestworzach, te cudowne, radosne kolendy o „dniu wesołym, który nastal” i ta bezwiedna jakaś otucha, że lepiej być musi, skoro się Chrystus nam narodził.

Choinka życia tyłoma błyszczała światelkami, tyle cacek na niej wisiało, tyle blasków z niej biło, tak gromkoi śmiało brzmiały słowa kolendowej pieśni: „Zagrzmiało, runęła w Bethlejem ziemia...” Od tego czasu tyle się zmieniło, tyle

pogasało na życia choince, tyle szychu opadło, że pozostały tylko najtwardsze orzechy do gryzienia i echo pieśni, jakby przedrzeźniające wspomnieniem urwanemi słowy: „Zagrzmiało, runęło — zagrzmiało, runęło...”

Wszystkie te blaski, światelka i cacka, które nam przeszłość odebrała, dostały się znowu naszym dzieciom i one zachwycają się nimi, cieszą oczy i serca, wierzą w ich trwałość i śmieją się z radości; to najpogodniejsze chwile ich szczęścia: więc życzymy im, aby jak najdłużej dla nich trwały i zielonej choinki ich życia strzeżmy, by za rychło nie pogasała z blasków, nie opadła z płonących kwiatków.

Święto maluczkich odmładza i nas starych na chwile; w gronie dzieci naszych czujemy się jakoś swobodniej, weselej na duszy wśród ich szczebiotu, i śmiechu, i śpiewów — bo to wcielona przyszłość pisklącym dziobkiem ćwierka nam do serca.

Tak się szczególnie składa, że pod sam koniec przebytego roku, kiedyby obrachunek z nim mógł człowieka zasmucić, przychodzi zawsze ta „radosna nowina”, wypada to Boże Narodzenie, które jakoś podniosłej, weselej nastraja ludzkie dusze i odrywa, choć na chwilę, myśl od trosk, kłopotów i zawodów życia.

Wkrótce znowu jedno ziarno przesunie się w klepsydrze naszego stulecia, znowu minie rok jeden, który podsummuje wszystkie rubryki i przekaże swemu następcy swoje ciężary, swe niedobory i długi nieopłacone, a będzie ich niemało w tym ogólnym bilansie.

Pod pewnemi względami jednak był on lżejszym, niż poprzedni, ale to się może tak wydawało tylko.

Mieliśmy tyle w ostatnich czasach ciężkich przeżyć i ekonomicznych, i finansowych, waliło się tyle, że skoro gruz się trochę sypać przestał, jak po trzęsieniu ziemi, już i ruina wydaje się mniejszą.

Zobaczmy, co nam ten nowy pan zapowie i od czego zacznie swe rządy; a tymczasem niech sobie stary powoli w drzemkę zapada i nie zbudzi się przed skonaniem, bo gotów jeszcze jakiego figla przed zgonem wypłatać. Mieliśmy przecież już takich ichmościów, którzy czaili się do końca, aby potem na odchodnym wierzgnąć, jak rozbrykany koń.

Przedświątca chwila w Warszawie odznacza się zawsze ożywionym ruchem, wśród którego filantropia krząta się ze swoją skarbonką i zbiera dla biednych i potrzebujących.

Oto Towarzystwo Dobroczynności urządziło swą „Gwiazdkę“ w Salonach Resursy Obywatelskiej, czyli „Bazar“, czyli „Wentę“, czyli targowisko doroczne z pięknymi damami we własnych i w pożyczanych sklepach.

Reporterya zachwała, jak umie, uśmiechy i uprzejmość, piękny towar i niskie ceny na Bazarze, ale śmiem wątpić, aby to wszystko razem przyniosło biednym dużo dochodu. Kogo spytam:

— Oóż, byłś na Bazarze?! — odpowiada mi wzruszeniem ramion i spojrzaniem, które najwyraźniej mówi:

— Nie głupim; nie mam pieniędzy na nadzwyczajne sprawunki.

Dla sprawunków też nie chodzi się na Bazar, tylko dla stosunków, nie dla zakupu potrzebnych rzeczy, tylko dla samych sprzedających; jest to rodzaj towarzyskiego haraczku, który trzeba składać w takich razach znajomym paniom i choćby wołano przez tuby po całym mieście, że tu nikt nie jest „karotowanym“, fakt pozostaje faktem, iż tylko względy towarzyskie sprowadzają ludzi na takie targowiska.

Jeżeli można się zmieszać z tłumem i zniknąć w nim, ten i ów zaryzykuje i dla ciekawości pójdzie zobaczyć, jak „tam tego roku wygląda“; ale jeżeli tłumu niema, a nie postarano się go zwabić czemkolwiek, w takich razach każdy się waha i „nie głupi“ pokazywać się na sali gdzie z każdego namiotu strzela ku niemu para, a częściej jeszcze kilka par znajomych oczu.

Jak tu ominąć Scyllę i Charybdę, jak nie wstąpić tu, nie zajrzeć tam, nie przywitać tej lub owej, nie kupić choćby bagatelki i nie położyć conajmniej rubelka na tacy grzecznej kupcowej, która nie „karotuje“, to prawda, ale uśmiecha się z góry, pewna twojego naddatku.

Wiem z doświadczenia, że z każdego Bazaru wychodziłem z kieszenią znacznie lżejszą, zapatrzoną w przedmioty, które mi najmniej były potrzebne i z podrobionym uśmiechem zadowolonia, postanawiając sobie uroczyscie:

— Oho, na przyszły rok mnie nie wezmą.

Ale na przyszły rok szedłem znowu, bo mi w kilku domach zapowiedziano znacząco:

— A proszę nie zapominać, że siedzimy na Bazarze.

Odpowiada się na to z najgrzeczniejszym ukłonem:

— Ach, słyszałem.

— Zobaczymy się?...

— Ach, naturalnie!

— Tylko nie zapomnij pan; sprzedajemy pierniki.

Nie cierpisz pierników i nie jadasz ich od dzieciństwa, ale idziesz je kupić, bo tak każe konwenans towarzyski, zpod którego nie wolno ci się wyłamywać pod żadnym pozorem. A reporterya notuje potem w szumnych sprawozdaniach: „Największym odbytem cieszyły się pierniki, sprzedawane przez panią X. z córkami, które (pierniki!) rozchwytywane były przez licznych amatorów tego przysmaku.“

Przy wodzie sodowej, fotografiach i cukierkach zasiadają zwykle gwiazdy teatralne, nasze „nawne“, nasze „primadonny“, nasze „dramatyczne“; tu się tonie obowiązkowo, bo tu uśmiechy bywają najśodsze, a towar najlżejszy i nie wypada żądać reszty z niczego.

Nie, stanowczo Bazar bywa zabawką za drogą, za mało praktyczną i za monotonna, a w rezultacie cała skórka nie starczy za wyprawę.

Na znacznie lepszy pomysł wpadł Dr Fritsche główny opiekun i organizator kolonii letnich dla chorowitych dzieci warszawskich; urządził

on także rodzaj Bazaru, ale bez wystawności, bez namiotów i muzyki.

Zjednął sobie znaczniejsze firmy kupieckie, aby odstąpiły pewien procent od jednodziennego targu i uprosił grono dam, aby dyżurowały po handlach.

Ta nowość okazała się w skutkach nader pomyslną, a przede wszystkim wygodniejszą i pewniejszą pod względem powodzenia. Do sklepu wstępuje każdy z potrzeby, kupuje za zwykłą cenę, nie jest krępowanym, ani zmuszonym do nabywania zbytecznego towaru, a ma tę samą wdzięczną uśmiechy bez konkurencji, tę samą uprzejmość nieprzeplacaną i tę samą zasługę spełnienia dobrego uczynku z mniejszym kosztem i zachodem.

Dr Fritsche miał myśl szczęśliwą, która się opłaci protegowanym przez niego osadom wakacyjnym i wcześniej przysporzy funduszu potrzebnego na cel tak sympatyczny i humanitarny.

Skoro się raz udało, można będzie na przyszłość czerpać z tego samego źródła stały zasilek na tę samą instytucję, którą w ten sposób weźmie w szczególniejszą opiekę mieszczaństwo i kupaństwo warszawskie; jemu bowiem należy się przyznać zasługę ofiarności w tym wypadku, bo ono ze swoich dochodów i zysków zgodziło się odstąpić pewien procent z całodziennego targu.

Są jeszcze dobrzy bezinteresowni ludzie na tym egoistycznym świecie; oto zaraz pierwszy z brzegu nasuwa mi się dla przykładu Sienkiewicz. Słyszeliście zapewne o podarku na „gwiazdkę“, który mu przysłał jakiś bezimienny wielbiciel jego talentu; włożył w kopertę 15.000 rs. samej tęczówkami i pocztą wyexpedyował do Warszawy z kartką: „Henrykowi Sienkiewiczowi— Michał Wołodyjowski“ z dopiskiem: „za Zbaraż i Częstochowę.“

Taka kwota, to w dzisiejszych czasach prawie majątek; a jednak autor „Potopu“ jej nie przyjął—ogłosił w liście otwartym, iż pieniądze nieznanego ofiarodawcy z podziękowaniem składa w depozycie Towarzystwa Kredytowego Ziemińskiego i pozostawia mu wolność odbioru; gdyby zaś przez trzy lata się nie zgłosił, w takim razie dopiero zastrzega sobie prawo rozporządzenia niemi według własnego uznania.

„Zarabiam piórem tyle, ile mi potrzeba—tłumaczy się w swem piśmie—nawet więcej; nie zgadza się przyjmowanie takiego daru, ani z moimi przekonaniem, ani z moją fantazją, tembardziej, że wobec ogólnego ubóstwa u nas tyle ważniejszych potrzeb oczekuje zaspokojenia.“

Zagranicą mniej są skrupulatni pisarze wielkiego talentu i nie składają najczęściej niczego do depozytu, co im ofiarowują ich wielbiele. Za Lamartine'a Francya płaciła długi; nie wstydział się tego i wystawiał nowe wexle; wielu innym wydzielano pensye stałe. U nas trzeba się liczyć z okolicznościami i potrzebami ogółu, bośmy ubożsi od innych i nie wypada jeszcze ani takich darów składać, ani ich przyjmować.

Sienkiewicz jest dziś niezaprzeczenie najświetniejszą firmą literacką i najpopularniejszym talentem u nas; ale sama sława i rozgłos jego dzieł mu wystarcza.

Czytują go tłumy, zachwycają się jego powieściami i czekają ciągle nowych utworów.

W wileńskiej korespondencji „Kraju“ znajduję taką wiadomość: „Pewien żydek urządził sobie niezłą spekulacyą na dziełach Sienkiewicza; posiada on kilka exemplarzy trylogii i za złożeniem zastawów pożyczka chętnym, biorąc za przeczytanie od 1 rs. do 1 rs. 50 kop. Książki rozchwytywają. Jest to dla panów wydawców wskazówką dla urzędnie taniej edycji, któraby się w dziesiątkach tysięcy exemplarzy rozeszła. Lubimy czytać, ale nabywać możemy tylko tanie edycje.“ Za przykład korespondent stawia tanie wydawnictwo Mickiewicza, które idzie do skonału.

Gdyby wolno było w takich wypadkach doradzać, to bezimiennemu wielbicielowi pana Henryka, podałbym projekt zużytkowania owych 15.000 rs., nieprzyjętych przez autora. „Oto—powiedziałbym mu:—przeznacz szanowny pan te pieniądze na jaknajtańsze wydanie całej try-

logii: „Ogniem i mieczem“, „Potopu“ i „Wołodyjowskiego“, a dopiero fundusz z tego osiągnięty oddaj do dyspozycji autorowi, lub sam przeznacz go na jakiś cel praktyczny, związany z nazwiskiem Sienkiewicza. Po co czekać aż trzy lata!...“

Taniość, to bardzo skuteczny środek popularyzowania u nas książek i literatury; łatwość nabycia zachęca do czytania. Dobrze przeto zrobili wydawcy podręczników dla samouków. p.p. Gebethner i Wolff, że zaczęli rozpowszechniać zeszytami pierwsze dzieło w tej projektowanej bibliotece. Ma ona na celu dostarczyć tanich, a pożytecznych książek tym wszystkim, którzy chcą uzupełniać swoje wykształcenie i uczyć się bez pomocy nauczyciela historii, literatury, estetyki, nauk przyrodniczych, matematyki i t. p., przedmiotów w wykładzie jasnym, przystępnym i opracowanym przez specjalistów.

Na początek wychodzi pedagogiczne dzieło Adolfa Dygasińskiego p. t. „Jak się uczyć i jak uczyć drugich;“ zadanie to nie łatwe, a coraz ważniejsze przy ogólnym dążeniu do oświaty, do wiedzy i nauki.

Wydawnictwo zapowiada się poważnie i zajmująco; dobrze poprowadzone, pod doświadczoną firmą, musi mieć powodzenie i wyrobić sobie szerszą popularność.

Na „gwiazdkę“ prawdziwą, bo oświecającą promykami nasze umysły i serca, zabłysnęło sporo nowości na wystawach księgarskich, jest w czem wybierać.

Belletrystyka, jak zwykle, najobficiej obrodziła. Kilka nowych nazwisk, kilka świeżych talentów przybyło współczesnej literaturze powieściowej. Premiowany autor „Minowskiego“ i „Dziwaka“ p. Alexander Mańkowski, wystąpił po raz pierwszy w powieścią większych rozmiarów, zatytułowaną: „Pan Wojciech“; laureatka konkursu powieściowego w *Kuryerze Warszawskim* p. Marya Rodziewiczówna dała nam swego „Dewajtisa“, młody, ale niepospolicie uzdolniony p. Wincenty Kosiakiewicz zebrał swoje drobniejsze utwory w jedną wiązaną p. t. „Widmo“.

Ze starszych Zygmunt Sarnecki, redaktor „Świata“ z właściwym sobie smakiem i elegancją wydał miły zbiorek obrazków powieściowych; Sienkiewicz zaś przygotowuje do druku szósty tom swoich pism w zbiorowym wydaniu, który obejmie: „Tę trzecią“, drukowaną w „Kuryerze Codziennym“, „Sachema“ i nieznaną jeszcze „Bajkę o królu Władysławie“, a jednocześnie dla „Słowa“, pisze nową powieść społeczną p. t.: „W piętach.“

Sędziwy tłumacz Goethego, Ludwik Jenike, puścił w świat przekład „Fausta“ w sobnym książkowym wydaniu, a nie spoczywając po tak ciężkiej i mozolnej pracy, zabrał się natychmiast do tłumaczenia „Egmonta“ i ułożenia całego zbioru swych przekładów większych i mniejszych, które ukazać się mają w „Bibliotece najcenniejszych utworów literatury europejskiej.“

Poezya również się odezwała; Czesław zagrzebany na wsi, przygotował śpiewne „Capriccio“, a młody zdolny poeta pisujący pod pseudonimem Or-Ot. zebrał pierwszokni swego talentu w malej, ale wdzięcznej dla oka książeczce z tym dużym, szerokim tytułem: „Poezye“, który niegdyś takie wzbudzał zajęcie w czytelnikach i miłośnikach literatury swojskiej.

Nie podobna mi tu wliczać wszystkiego; jest tego sporo, jak powiedziałem; bierzcie do ręki katalogi, przeglądajcie i kupujcie, jeśliście ciekawi nowych nabytków pióra polskiego. Z dawniejszych zawsze jeszcze Tytan pracy, Kraszewski spuścił swą swoją karmić umysły całego pokolenia, a dzieła jego w zbiorowych tanich wydaniach zwycięzko rywalizują z twórczością współczesnych i nierychło pozwolą się usunąć z pierwszego miejsca.

W prasie również rozruszało się nanowo; zachynają znowu przybywać pisma po krytycznej chwili grożącego krachu. „Mucha“ zmieniła właściciela i redakcyę, ożywiła się humorem i dowcipem, odnowiła swoje skrzydła i próbuje, czy jej się nie uda przetworzyć na polskie *Fliegende Blaetter*.

Dla klubistów wszelkiego rodzaju pod redak-

cyą p. M. br. Romiszowskiego zaczął wychodzić specjalny miesięcznik, poświęcony Sportowi, szykowny, elegancki, ilustrowany, okraszony poezją i belletrystyką; wystroił się, bo liczy na salony.

Od Nowego Roku przybędzie nam nowy codzienny kolega; tytuł jego *Ziarno*; ma być polityczną, taną gazetką, redagowaną przez p. Kazimierza Korwin-Piotrowskiego, autora studyów o „Gambecie“ i „Jezuiciach.“

„Rzucając *Ziarno* nasze na pole literatury perypetycznej, chcemy dać najszerszym warstwowemu czytającemu ogółu — pisze redaktor w numerze okazowym tego dziennika — nie pismo brukowe, lecz jak najtańszy dziennik, poświęcony sprawom społecznym, politycznym, ekonomicznym i literackim, dziennik poważnego pokroju (*sic*) barwnej i ożywionej formy, co do pełności programu nie ustępujący większym naszym organom politycznym.“

W dalszym ciągu zapowiada redakcja, że „unikając krańcowości, szanować będzie rozumny postęp i wielkie zdobycze ducha ludzkiego, nie mniejszą czcią otaczając przeszłość i jej tradycje, gromadząc jaknajwięcej danych o stanie wewnętrznym naszego społeczeństwa, a zawsze i wszędzie starając się doszukiwać bijących tętn ruchu idei, uczuć i przemiany pojęć ogółu.“

Dążenia i zamiary godne uznania; czy wszelako warunki istnienia pisma tak taniego pozwolą mu na spełnienie wszystkich zapowiedzi prospektu, wobec tego, że droższe i zamożniejsze dzienniki nasze zaledwie sobie ze wszystkim tem poradzić mogą — okaże dopiero czas i wytrwałość młodego redaktora, który z zapałem pod godłem *fac et spera* zabiera się do rzeczy.

Z dziedziny sztuki wspomnieć winniem o dwóch wystawach szkiców, na których dużo znajduje się utworów pędzla i ołówka, mających dwie zalety, t. j.: taniść i ślady rzeczywistych talentów.

W salonie p. Krywulca zaś wśród wielu obrazów poważnej treści, zwraca obecnie uwagę nowe dzieło p. Franciszka Żmurki, przedstawiające epilog serajowego dramatu, nagą sułtankę uduszoną na wspaniałym łożu „Z rozkazu padyszacha.“

Pan Żmurko powrócił do tematu, który już raz obrabiał na klasycznym motywie, przedstawiając śmierć Messaliny pod cytata: *Sic imperator jussit*; ale przyznać trzeba, że tym razem lepiej mu się udało pod każdym względem nowa waryacja tegosamego tematu.

Znać i w karnacji, i w rysunku, i w oświetleniu, a zwłaszcza w wykonaniu szczegółów, postęp niezaprzeczonej dojrzejącego wreszcie talentu. Przecież!...

Quis

## S Z W A B

SZKIC DO POWIEŚCI.

przez

Teodora Jeske-Choińskiego.

Dalszy ciąg.

Mieczysław podał gościowi sporą lampkę starki. Pan Szulc wypił, otarł wąsy rękawem i pogładził się po brzuchu.

— Zapewne po nieboszczyku. Znam ją — mruknął i osunął się na fotel, który mu Mieczysław podstawił. — Ale do rzeczy — wyrzekł — bo czas nagli, jeśli ma być jeszcze jakowyś ratunek.

— Słucham pana — odezwał się Mieczysław.

— Musiałeś słyszeć zagranicą — mówił pan Szulc o owej kommissyi kolonizacyjnej, którą Prusacy wymyślili na nasze pogębienie.

— Pomysł to barbarzyński, nieprzynoszący zaszczytu społeczeństwu, które się zowie narodem myśliciele — wtrącił Mieczysław.

— Nie może być w tym wypadku dwóch zdań, co do mnie jednak, winię więcej tych z pomiędzy nas, którzy dla zarobienia kilku tysięcy marek, ułatwiają owej kommissyi robotę.

— Każde społeczeństwo posiada pewien procent wyrodných dzieci, niepozostających się do wspólności ze smutkami ogółu. Na szczęście niewiele u nas dotąd takich zaprzańców.

— Ale będzie ich coraz więcej.

— Mam nadzieję...

— Nie miej żadnych złudzeń, mój chłopcze, abyś się zanadto nie rozczarował — wyrzekł pan Szulc. — Nie znasz jeszcze kraju swojej matki, który wygląda dziś zupełnie inaczej, niż za czasów jej młodości. Niedawno jesteś między nami, a przecież miałeś chyba dosyć sposobności przekonać się, że nie jesteśmy już bohaterami.

Mieczysław opuścił głowę — milczał.

— A widzisz — mówił Szulc — że zgadłem. — Rozprawiano w ostatnich czasach tyle o dobrobycie, o handlu, przemyśle, o ważności materialnych potrzeb kraju, że się w słabych głowach wyobrażenia pomieszały. Co miało być jedynie środkiem, wzięło wielu za cel ostateczny. Jednostronne doktryny uświęciły samolubstwo samolubnych i podłość podłych. Pruska kommissya kolonizacyjna płaci lepiej, niż prywatni nabywcy, przeto chwytają się kto tonie skwapliwie tej ostatniej deski ocalenia. Gdy mu majątek wystawia na licytację, wyjdzie z niego z torbami, sprzedając go zaś z wolnej ręki kommissyi, uratuje może trochę grosza. A ponieważ takich, którzy toną, liczy Poznańskie całe legion, więc tylko patrzeć, jak sami proskrybowani zaczęli się gromadnie prosić prześladowców o to, aby ziemię ich przodków zabrano dla kolonistów niemieckich.

— To potworne! — zawołał Mieczysław.

— Potworne, nie przeczę, ale prawdziwe. Były po wszystkie czasy *lacrimae rerum*. Ojcowie hulali, wnukowie giną za to w nędzy i pohańbieniu. Stare to dzieje.

W gabinecie Mieczysława zapanowała cisza. Młody ukrył twarz w dłoniach, stary zapatrzył się w sufit.

Po chwili odezwał się znów pan Szulc.

— Zmaleliśmy okrutnie... malejemy z dniem każdym więcej... Sto lat... Choć trudno chwalić owych biedaków, którzy zgłaszają się z potrzeby do kommissyi, możnaby ich jeszcze wytłómaczyć położeniem bez wyjścia. Lecz na wieczną naszego imienia hańbę są już i tacy spekulanci, którzy sprzedają Niemcom ziemię, powodowani jedynie chciwością wyższych cen. Jakże takich nazwać?

— To potwarz, panie! — zawołał Mieczysław.

— To prawda, tylko prawda, mój drogi — rzekł pan Szulc. — Znalazł się nawet w naszym najbliższym sąsiedztwie ktoś tak nieuczciwy, że układa się z kommissją o sprzedaż majątku, chociaż nie zabierał nigdy bliższej znajomości z komornikiem.

— Takiego łotra trzeba ogłosić infamisem, trzeba napiętnować jego i jego rodzinę.

— Ostrożnie z wyrokiem, bo mógłbyś go pożałować!

— Nie cofnąłbym słów potępienia, chociażby miażdżyły rodzony brata.

— A gdybyż ten ktoś posiadał córkę, którąbyś kochał?

— Nie brałbym nigdy żony z tak plugawego gniazda.

— Przesadzasz, mój drogi, zwyczajem młodości. Cóż winna dziewczyna, że ojciec jej miłuje więcej złoto nad honor i cześć obywatelską?

— Rzadko jabłko pada daleko od jabłoni.

— Ale czasem bywa, że pada daleko, wdawszy się w dziada lub pradziada. Znam pannę Ksawerę od kołyski, przeto wiem, że zasady pana Złotnickiego nie posiadają w niej wielbielki. W tej dziewczynie dużo szlachetnych instynktów, które rozumny mąż potrafi rozbudzić.

Mieczysław zerwał się z krzesła.

— Więc to on! — zawołał.

Wielka błądź pokryła jego twarz.

— A on. Pan Złotnicki odziedziczył w Po-

znańskim majątek, który zamierza sprzedać kommissyi kolonizacyjnej, tłómacząc się tem, że potrzebuje posagu dla najstarszej córki.

— To być nie może!

— Jest tak, bo doniosły już o tem odstępstwie dzienniki poznańskie.

Mieczysław podszedł do okna i, oparłszy czoło na szybę, patrzył na dwór, na biały śnieg, który zaścielał cały dziedzińiec. Oczy jego nie widziały pościeli zimowej, nie widziały nic, bo przesłoniła je opaska wilgotna. Głębokie westchnienie wypelzło z jego piersi.

— Boże, mój Boże — szepnął.

Pan Szulc podniósł się, zbliżył się do Mieczysława i, położywszy rękę na jego ramieniu, wyrzekł:

— Może jeszcze czas odwrócić ten kielich od ciebie. Gdybyś pojechał do Złotnickich, rozmówił się z panną Ksawerą...

— Na cóż się to przyda! — zawołał Mieczysław gwałtownie.

— Córki umieją czasem przemówić do przekonania ojców.

— A jeżeli już zapóźno?

— Jedź i przekonaj się.

Mieczysław zadzwonił.

— Zaprzęgać! — rozkazał lokajowi.

— O tej porze zawczasie do Złotnickich — zauważył pan Szulc. — Oni śpiją do południa.

— Wiem, ale muszę gdzieś jechać, ruszać się, robić coś, czuję bowiem, że bym się rozchorował gdybym nie uciekł przed myślami, które spadły mi na mózg, jak rój wstrętnego robactwa. Niech się pan u mnie rozgości; pojedę do miasta z podatkami.

— Nie krępuj się moją osobą. Obejrzą sobie tymczasem gospodarstwo i pogawędzą z Marcinkowskim.

W półgodziny potem sunęły małe saneczki po zmarzłym śniegu drogą do miasta powiatowego. Młode, rosłe konie szły, jak wicher, a Mieczysław napominał mimo to ciągle woźnicę, aby nie żałował bata. Furman kręcił głową i świstał na ogiery. Dziwił go pośpiech pana, który oszczędzał zwykle biegunów egowych.

Załatwiwszy się w powiecie szybko, wstąpił Mieczysław do jedynego hotelu, nazwanego przez właściciela „Francuzkim.“ Tu zastał hrabiego Komorowskiego w towarzystwie trzech paniczów, przy butelce szampana. Przywitał się z sąsiadami i nie odmówił, gdy go zaprosili do kompanii.

— Pana dziwi, że hulamy w miasteczku — zaczął hrabia. — Cóż pan chce? Nie wesoło siedzieć na wsi, kiedy się nie czuje pociągu do rolnictwa. Nie zawadzi czasem dla odmiany przypatrzeć się poważnym obliczom dygnitarzy prowincjonalnych. Tańczyłoby się w tym kraju z nudów na linie, gdyby się umiało.

— Psi kraj! — przywodził jeden z paniczów.

— Okropny klimat — dodał drugi.

— Nie mogę się doczekać chwili, w którejbym już mógł wyruszyć z mojej nory; ludzie ją nazywają pałacem — odezwał się trzeci.

— Panowie urodzili się w tym kraju? — zapytał Mieczysław.

Młodzieńcy spojrzeli na niego ze zdziwieniem w oczach, a hrabia rozśmiał się.

— A jakże — wyrzekł — jesteśmy wszyscy tej ziemi dziećmi niewdzięcznymi. Pana gorszy nasz sąd? I mnie nieraz dziwno, że nie umiem być obywatelom kraju, którego jestem synem i wychowawcą; chciałbym nim być — coż kiedy nie umiem. Dawniej było łatwiej zasłużyć sobie na miano obrońcy ojczyzny; siadało się poprostu na koni i biło się, co potomkowi rycerza nie sprawiało żadnej trudności, bo pociąg do szabli przynosił z sobą na świat, — ale dziś? Cóż tu robić? Niema gdzie, niema dla kogo, w końcu nie warto.

Hrabia, pałacy wonne hawana, wypuścił z ust gęsty kłęb dymu i zapatrzył się w sufit.

— Fatalne położenie — mruknął — nawet ludzie dobrych chęci muszą zmarnieć, zniechęcić się w takich warunkach.

— Psi kraj — odezwał się znów pierwszy panicz.

— Może tylko biedny — wyrzekł Mieczysław

— Może—mówił hrabia — ale cóż my na to poradzimy...

— Gdyby wszyscy myśleli tak, jak panowie, to rzeczywiście...

— Ach, panie kochany — zawołał hrabia życzliwie.—Są rzeczy, na które trzeba patrzeć, aby je dobrze rozumieć. Przybyłeś pan z obcego świata, z dalekich stron i przywiozłeś z sobą głowę, wytapetowaną różnymi malowidłami stworzonymi przez tęsknoty i wyobraźnię. Wyidealizowałeś sobie tę ziemię, którą cię matka kochać nauczyła; ale pobądź tylko między nami dłuższy czas, a wówczas porozmawiamy...

Znów wypuścił z ust kłęb dymu i zadumał się.

Mieczysław opuścił głowę na pierś. Na czole jego między brwiami ukazała się głęboka bruzda.

Przy stole, w środku sali siedziało kilku mężczyzn, którzy pili piwo i gwarzyli z cicha. Czasem podniósł któryś z nich głos, a wtedy dolały do uszu Mieczysława urwane słowa niemieckie. On nie słuchał zrazu, po chwili jednak zwrócił twarz w stronę cudzoziemców i nadstawił uszu.

— Któż są ci panowie? — zapytał.

— Nasi sąsiedzi, Niemcy, którzy mają w powiecie posiadłości ziemskie — odpowiedział hrabia.

— Czy hrabia rozumie ponemiecku?

— Trochę, niewiele.

— To lepiej, bo nasłuchiwałbyś się pan dziwnych rzeczy.

— Cóż tam takiego mówią? Pewno nam wymyślają.

— Jeszcze gorzej.

— Mianowicie?

— Obrzucają nas najobelżywszymi wyrazami.

— Oni nie umieją inaczej. Ale kogo? Bo jeśli mnie...

Hrabia zmrużył powieki i łypnął oczami.

— Wszystkich, cały nasz naród.

— A...a...a... ogólniki... Ale z jakiej racji?

— Zaraz się dowiemy, bo właśnie podnoszą głosy.

Jeden z Niemców ożywił się rzeczywiście w tej chwili. Wysoki, barczysty, z ogorzałą twarzą, mówił, uderzając pięścią w stół.

— A ja ci powiadam, Wilhelm — prawil ponemiecku—że ci Polacy, to podły naród, to łajdaki, przeznaczeni na zagładę.

Mieczysław spojrział na niego z pod czoła i zmarszczył się jeszcze więcej.

— Dajże pokój, Franz, nie przesadzaj—przełożył drugi Niemiec — lekkomyślni oni, prawda, nic nie umieją i niewiele robią, ale dobre mają serca, daleko lepsze od naszych. Dłużej żyję między nimi: znam ich lepiej od ciebie.

— Co mi tam serce! — zawołał pierwszy — Baby są od tego, aby miały serce, mężczyzna bez honoru i rozumu, to kiep.

— Już co do honoru, Franz, daruj, ale my się od nich możemy uczyć ambicyi.

— Kaprysów, fantazyi pańskich, ale nie honoru — twierdził barczysty. — Ładny mi honor sprzedawać dobrowolnie majątki kommissyi kolonizacyjnej! Tyle było krzyku, kiedy Bismarck odzywał się w sejmie z lekceważeniem o Polakach, tyle pogrózek w gazetach poznańskich, że potomkowie zwycięzców zpod Grunwaldu oprą się naszym milionom, a teraz ofiarują sami kommissyi swoje posiadłości. Straszliwie spodłał ten naród!

Mieczysław, siedział na swem krześle skulony, z posępną twarzą, jak kot, gotujący się do skoku. Oczy jego błyszczały ponurym blaskiem.

— Czy panowie zrozumieli słowa tego pyszałka? — zapytał stłumionym głosem.

— Lżył nas. Jesteśmy tego od nich zwyczajni — odparł hrabia.

— I cóż panowie na to?

— A cóż-by? Nic. Niech sobie gada, kiedy mu się tak podoba.

— Zaprawdę, panowie, zaczynam wierzyć, że podlegamy — wyrzekł Mieczysław.

Poczem podniósł się szybko, zbliżył się do stołu Niemców i wyrzekł:

— Panowie, jestem Polakiem, lecz mówię po-

niemiecku. Wysłuchałem przypadkiem całej rozmowy panów.

Barczysty teuton spojrział na niego gniewnie i zapytał:

— I czegoż pan od nas żąda?

— Proszę, abys pan odwołał wszystko, co przed chwilą wygłosiłeś. Chcę przypuścić, że wyrażałeś się pan o narodzie, do którego należę, dlatego tak niekorzystnie, iż nie spodziewałeś się świadków.

— Słowa moje powtórzę wobec tysiąca ludzi, jeśli panu o to idzie — wyrzekł Niemiec, rzucając Mieczysławowi pogardliwe spojrzenie.

— W takim razie...

Mieczysław wydobyl z kieszeni swoją kartę wizytową i rzucił ją Niemcowi w twarz.

Syn Germanii zerwał się z krzesła.

— Panie! — huknął.

Jestem do usług pańskich w każdej chwili. Mieczysław Ringhofen z Plewisk. Do widzenia na placu!

A odwróciwszy się do hrabiego wyrzekł:

— Mniemam, że mi hrabia nie odmówi przysługi rycerskiej. Tak się panowie w tym psim kraju nudzicie, że was drobna awanturka trochę rozerwie.

Gorzki uśmiech rozsiadł się na ustach Mieczysława.

— Służę panu z wielką przyjemnością — odparł hrabia. — Kogóż drugiego pan wyznacza?

— Myślę, że i pan Rogowski będzie mi towarzyszył w ostatniej podróży.

— Pojadę natychmiast do niego.

— Dziękuję naprzód, do widzenia.

— Może będziemy jeszcze dziś w Plewiskach.

— Będę całą noc czuwał.

Hrabia zbliżywszy się do Mieczysława, mówił szeptem:

— To officer pruski, panie, podobno znakomity strzelec.

— Jestem synem żołnierza, kuli się nie lękam, a reszta w rękę u Boga.

— Więc... naprawdę?...

— A hrabia myślał, że to żarty?... Podyktujcie najostrzejsze warunki.

Serdecznie uściśnął hrabia dłoń Mieczysławowi. W kilka minut potem opuszczali obydwaj miasteczko powiatowe.

Mieczysław kazał stangetowi jechać do Radliszcz. Zdawało mu się, że powinien widzieć się z panną Ksawerą przed krwawym spotkaniem, czuł potrzebę spojrzenia w jej szafirowe oczy... może po raz ostatni. Kto wie, co jutro przyniesie?

— A jednak... cóż mogą pannę Złotnicką obchodzić moje losy?—mówił do siebie.—Tyle rozczarowań doznałem już w tym kraju...

Mówili z sobą dotąd niewiele, wymienili za ledwo kilkaset słów... cieplejszy uścisk rąk... rumieńce... oto wszystko.

— Nie mam do niej żadnego prawa, nie upoważniła mnie niczem do jakichkolwiek nadziei. Wojciech!

— Słucham, jasnie dziedzicu.

Mieczysław chciał powiedzieć: nawracaj do domu, lecz po krótkim namyśle wyrzekł:

— Coś mi młodszy ogierek kuleje. Czy nie ma czego w kopycie?

(Dokończenie nastąpi.)

## Z pamiętnika nieszczęśliwej kobiety.

Literatura pamiętnikowa, bardzo rozpowszechniona w naszych czasach, wywołuje z cieniów przeszłości postacie, których historia wobec naszego realistycznego nastroju myśli wydaje się bajką sentymentalną. Serca ludzkie zawsze kochają i kochać będą, ludzie zawsze cierpią i życie ma swoje dramata okrutne; ale dawniej formy były inne i, jeżeli można użyć tego wyrażenia—romantyczniejsze. Ztąd też echa minio-

nych czasów mimowolnie budzą w nas interes ciekawy i oglądamy się poza siebie, aby zajrzeć w głąb istnienia poprzedników naszych na ziemi, dowiedzieć się, jak ci, którzy są teraz garstką prochu w mogile, żyli—czując, koczując gorąco, aby potem, gdy ukochania swe utracić przyszło, tęsknić po nich i czuć ból serca, aż do ostatnich jego uderzeń. Do rzędu takich zajmujących historii, które zdają się być wymyślonym romansem, a są przecież dziejami rzeczywistego życia, należą wysłane niedawno w Lipsku listy i notatki pamiętnikowe Karoliny von Linsingen, pierwszej żony króla angielskiego, Wilhelma IV, a przecież nigdy nie królowej.

Dom Hanowerski nie był w Anglii popularnym, tak jak w historii nie zostawił po sobie kart, zapisanych szlachetnymi czynami dobrej woli. Wszyscy książęta tego domu byli, aż do królowej Wiktoryi, ludźmi gwałtownych, dzikich namiętności, którym puszczały wodze, nie licząc się nigdy z moralnymi względami życia i tylko wspomniany monarcha, trzeci z kolei syn Jerzego III, Wilhelm Henryk, noszący jako królewicz tytuł księcia Clarence, zdawał się być naturą lepszą. Okazywał on pewną dobroć serca i tkliwość uczuć, był bardzo przywiązany do matki, która kochając go także silniej, niż inne swe dzieci, chciała go uratować od wpływu przykładań, jakie dawali mu dwaj bracia starsi i ojciec: opilec i pasibrzech, który skończył na waryacyi. Biedna jego żona, z domu księżniczka meklenburska, zapragnęła oddalić ukochanego syna z Londynu, z Anglii nawet i ztąd wysłała go do Niemiec, do dziedzicznego gniazda rodziny—do Hanoweru, dokąd zabrał ze sobą przyjaciela swego: lorda Dutton, tak, jak i Wilhelm Henryk dwudziestokilkolletniego młodzieńca. Ale w orszaku królewicza był nadany mu przez królową matkę, jakoby tajemny opiekun, generał von Linsingen, miły królowej człowiek i rodak, dowodzący pułkiem gwardyi Hanowerskiej, przebywającej w Anglii, w Londynie, jako przyboczna honorowa straż króla.

Temu człowiekowi, który był jej przyjacielem i ciężkich utrapień życia powiernikiem, oddała królowa syna w opiekę. Żądała, aby sprowadził do Hanoweru rodzinę swoją, zamieszkałą w Lüneburgu, a to, aby Wilhelm Henryk znalazł w nowem otoczeniu dom jakiś, dający mu ciepło jakgdyby ogniska rodzinnego, zwłaszcza, że generał miał córkę, o której królowa wiedziała, że jest piękną i szlachetną, dobrze wychowaną dziewczewią. Generał mówił o niej nieraz królowej, która nawet zapragnęła wziąć ją do Anglii, na swój dwór, uczynić panną honorową, ale ojciec wyprosił się od tego zaszczytu. Młoda dziewczyna wychowywała się dobrze w kraju—w instytucie córek domów szlacheckich, i generał, dziękując królowej za jej dobroć łaskawą, prosił, aby pozostała tam, aż do chwili dorosłości. Na ten czas właśnie, gdy Karolina von Linsingen dwudziestoletnią panną wróciła do domu, wypadła podróż królewicza do Hanoweru, gdzie ją poznał.

Była bardzo piękna. Blondyna tego odcienia blond-popielatego, który się zwykle łączy z płcią i karnacją bardzo delikatną, a który rozślawiała nieszczęśliwa Marya Antonina; wysoka, kształtów klasycznie pięknych, z wielkimi błękitnymi oczyma, w podłużnej oprawie z czarną brwią i rzęsą, wywarła na młodego królewicza wrażenie takie, że wychowany na dworze londyńskim, przyzwyczajony do jego wolnych wówczas obyczajów, stanął nagle nieśmiały, jak wobec bogini i potem—potem, gdy pomiedzy niemi nie było już tajemnic, przyznał ukochanej kobiecie, jak wrażenie pierwsze już mu się stało w piersi miłością, o której czuł, że ma tam być wielką i gorącą—jedyną w życiu.

Przecież wrażenie to przeszło następnie w gniew, że tak być może—że ulega sile, wiążącej go odrazu przemocą pęt, nigdy niezaznaczonych. Prędko usunął się zpod wzroku błękitnych oczu, które moc swoją wywierały w sposób taki, ale czar działał i wtedy, napełniając mu pierś tęsknotą nie dającą się przemódz. Bał miejski, dany z okazji przybycia królewicza, dał też prędko sposobność zobaczenia raz drugi pięknej panny i teraz

już Wilhelm Henryk nie był zdolnym walczyć ze sobą, nie był zdolnym zwyciężyć się. Tańczył z nią najwięcej, nie mógł prawie oderwać się od niej i wracając z balu uczynił lordowi Dutton odkrycie, że jest zakochany—szalenie, niepokonanie!

Wzruszony, wyznawał przyjacielowi stan serca, niezaznany dotąd nigdy i pytał niespokojnie: czyby to miała być ta miłość prawdziwa, którą opisują poeci—miłość, jak Petrarki dla Laury—wierna aż do śmierci?

Że nie potrzeba mu już było nawet widzieć jej, aby być jakoby w jej obecności i mieć jej postać przed oczyma, porzucił więc postanowienie pierwsze trzymania się od niej zdala. Po balu wyprawiono mu wspaniałe polowanie, w którym rodzina generała von Linsingen musiała z konieczności uczestniczyć i gdzie zakochany znalazł się też prędko przy boku pięknej panny ulegającej magnetycznie sile uczucia, które wzbudziła. Nie była bynajmniej zalotną; była przeciwnie bardzo skromną ale miłość ogarnęła i ją również, wyglądała z pięknych jej oczu, przemawiała z uśmiechu ust, objawiała się tem wszystkim, co ją zdradza wtedy nawet, gdy wypowiedzieć się nie chce. Król wicz mimo to nie rzekł żadnego słowa, które byłoby wyznaniem, podobnie jak i ona nie dała mu tego poznać przez żadną oznakę wyrażną, że jej serce bije w piersiach inaczej, niż niedawno, ale wszystko mówiło wzajemnie przez oboje, wyznając, że kochają. Moc, panująca nad nimi wspólnie sprawiała, że ich oczy spotykały się mimowoli wśród tłumu, zbiegając się spojrzeniem: że dążyli ku sobie, a rozłączyć się nie mogli, raz się spotkawszy, i nie było już dla nikogo tajemnicą, iż król wicz jest zakochanym, a generał, przestraszony tem, nie wiedział co począć? Uwag czynił mu nie śmiał, a bał się drugostronnie córki oddać. To, co się działo w angielskiej rodzinie królewskiej, mogło go straszyć przypuszczeniem, że Wilhelm Henryk może się dopuścić wtedy jakiego szalonego kroku: może Karolinę skandalicznie zpod władzy rodzicielskiej usunąć, porwać ją gwałtem, przy sobie zatrzymać.

Strapiiony ojciec zwrócił się otwarcie do królowej, zapytując: co ma uczynić? Nie tań, że i jego córka ulega sile uczuć królewicza, on przecież uczyni wszystko, co należy, aby ich rozdzielić w sposób, jaki królowa mu nakaze. Gotów był nawet odesłać biedną dziewczynę gdzieś daleko na wieś, lub do instytutu, w którym pobierała nauki, ale królowa odpisała, że właśnie rozdział byłby rzeczą najgorszą, że płomień przygaszany wybucha zwykle gwałtowniej, i że miłość syna dla panny skromnej i uczciwie wychowanej, nie przestrasza jej wcale. Czuć nawet można w jej listach, coś więcej nad to. Matka była rada, że zajęcie się Karoliną uchroni jej syna od miłostek niskich, od hulanków nędznych i dziko roznamiętniających.

Generał już miał teraz zagrodzoną drogę działania i postanowił tylko czuwać nad córką, aby zbliżenie się nie było nigdy zbyt niemiłym aby nadawało księciu pola do silniejszego roznamiętnienia miłości uczuwanego. Ale etykieta dworska, a zarazem usłużność dworaków przykładała tu cegielki swoje. Zostawiano umyślnie wolne miejsce księciu, dawano mu z ręczniami sposobność przebywania obok ukochanej i starano się, aby nie przeszkadzało im nic. Miłość obojga mogła też wzrastać swobodnie i wzrastała, aż nadeszła konieczność w kolei spraw takich chwila wyznania. Książę lubił spacerować po ogrodzie, lubił wycieczki w lasy, otaczające miasta i na jednej z nich gorąca jego miłość znalazła sobie ujście w wyrazach malujących namiętnie swoją siłę. Wilhelm Henryk przysięgał wierność, przysięgał połączenie się aż do śmierci, i dziewczyna też kochająca, zaskoczona niespodzianie, mająca u nóg swoich człowieka, któremu oddała serce, wydała się z uczuciem swoim, a potem już nie mogła być prawie panią swojej woli. Książę nalegał namiętnie na oddanie mu się w małżeństwo bez zwłoki, lord Dutton był też sam pod urokiem Karoliny, a brat jej Ernest, z którego Wilhelm Henryk uczynił już od pewnego czasu przyjaciela i powiernika swego, nietylko nie postawił między

kochającą się parę zapory żadnej, ale przeciwnie popychał biedną dziewczynę do oddania się królewiczowi. Kochał on piękną swą siostrę bardzo silnie, przytem był ambitny tak dla niej, jak dla siebie, a że Wilhelm Henryk był trzecim do następstwa na tron angielski, rzecz nie przedstawiała się jako przekroczenie stanu. W orszaku królewicza znajdował się dla oddania mu posługi religijnej duchowny angielski, Parson, Szkot rodem, więc przejęty tym wolnomysłnym duchem purytańskim, wobec którego niema między ludźmi różnic tam, gdzie przemawia głos siły, wyższej nad wszelkie stopnie wyniosłości ziemskiej, był więc w pogotowiu i kapłan, mogący dać ślub potajemnie.—

A przeszło już rok król wicz znał i kochał piękną Karolinę; przeszło rok, jak poza psującym wpływem londyńskiego świata mógł płomień doznawanej miłości stawać mu się w piersiach uczuciem szlachetnym i podnoszącem to, co miał w sobie dobrego. Nie było też w nim podstęp: kochał uczciwie, ale kochał młodzieńczo: co dzień, co chwila goręcej, i gdy raz postanowił uczynić Karolinę żoną swoją i towarzyszką życia, dla czegoż miał zwłóczyć? Wielka życzliwość królowej matki dla generała von Linsingen, okazywane już poprzednio zajęcie się Karoliną, której miniaturę widziała i unosiła się nad słodkim wyrazem jej twarzy—wszystko to było mu podniętą do stanowczego kroku.

Był sierpień, lato pogodne i gorące. Zostało ułożone przez królową, że król wicz pojedzie do kąpieli pyrmonckich, położonych w rozkosznie pięknej okolicy, gdzie go odwiedzi najstarszy brat i następca tronu angielskiego, książę Yorku, którego miano przyjmować bardzo wystawnie, i wszystko to dawało sposobność do sekretne go ślubu między kochankami. Wilhelm Henryk naglił niecierpliwie, napierając o to na Ernesta von Linsingem, który stał się teraz posłem królewicza do ukochanej. Lord Dutton i Parson poczynili też posłusznie wszystkie przygotowania potrzebne do tajemnego związku i dzień urodzin królewicza, 21 sierpnia, stał się dniem wyrocznym dla losów pięknej Karoliny.

Zanim świat dworski, który się teraz przenosił za księciem do Pyrmout, przebudził się ze snu, on jakoby chcąc użyć samotnej przejażdżki konnej, wyjechał w stronę lasu, gdzie znajdowała się ustronnie położona kaplica, przy pustelni, stojącej już dawno pustką. Czekał go tam lord Dutton wraz z Parsonem, a wkrótce, przybyła i biedna dziewczyna, w towarzystwie brata, o którym sądzić można, że popychał rozkochaną już też gorąco do tego kroku.

Nikt poza tem kółkiem księcia nie wiedział; żaden poszept plotkarski nie zdradził tajemnicy, której się nikt nie domyślał. W przeddzień wieczorem dawano w teatrze „Don Carlosa;“ grali wyborowi, przyjezdni z kądzi aktorowie i cały dwór, całe wyższe towarzystwo kąpielowe zgromadziło się w teatrze, gdzie był i król wicz, była z rodzicami Karolina, a Wilhelm Henryk uczuł się w jej obecności tak upojony szczęściem, które następnego poranek miał mu przynieść, że zapomniał o mogących go szpiegować oczach ludzkich i tak nie mógł oderwać wzroku od pobladłego ze wzruszenia, a często przecież palającym rumieńcem oblewającego się oblicza ukochanej, że lord Dutton musiał go ostrzedz, aby panował nad sobą, jeżeli nie chce zdradzić wszystkiego. I potem nawet tak lord Dutton, jak brat Karoliny, musieli pozostać przy nim na straży, obawiając się jakiego szalonego wysoku z jego strony.

Po teatrze był bal u dworu, bo książę Yorku przybył właśnie, i etykieta wymagała odpowiednich uroczystości. Karolina przebrała się po teatrze w strój istic panny młodej: była cała w bieli, w perłach na przepięknej szyi i zielonym wieńcu na głowie, książę Yorku został zachwycony jej pięknnością, a przyzwyczajony do śmiałej galanterii londyńskich obyczajów, zaczął jawnie okazywać swoje uwielbienie, co obudziło namiętną zazdrość w rozkochanym. Przystąpił do brata prawie szorstko, prowadząc ze sobą starszą siostrę Karoliny: Julię, też piękną bar-

dzo, a przedstawivszy ją księciu i dodając, że Karolina jest przez niego zamówioną do pierwszego tańca, porwał ją prawie pod ręką i wprowadził w inną stronę sali balowej, tak żywo, iż wszyscy zauważyć to musieli i na niejednych ustach ukazał się złośliwy uśmiech.

Julia von Linsingen podobać się mogła i podobać się chciała, więc księżę Yorku mało zważał na postępek brata. Gdy muzyka wzywająca do tańca ozwała się, a Wilhelm Henryk jako gospodarz, powinien był wystąpić naprzód z tancerką swoją, którą według etykiety dworskiej ktoś powinien był przyprowadzić mu, stary generał podał rękę córce i przywiódł ją przed dostojnego tancerza. Nie domyślając się jak rzeczy zaszły daleko, nie był ani smutnym, ani poważnym, ale ją przyjęło wzruszenie, nad którym panować nie zdołała. Schyliła się do ręki ojcowskiej i pocałowała ją, myśląc:—Dajesz mi mnie na życie całe...

Tak spojrziała na ojca błękitnemi oczyma, że generał odgadnął coś z kierunku jej myśli i rzekł:—„Oby się zyczenia twoje ziściły mogły... ale nie... nie może to być...”

Biedna uczuła bolesne ścisnięcie serca.—Nie może to być... brzmiało jej w uszach jak przestroga, jak zakaz rodzicielski i chwiejąca się między szczęściem a trwogą, zdenerwana walką, jaka się już poprzednio odbywała w niej musiała, uczuła takie ścisnięcie serca, że zbladła.

I tak bladą odebrał ją oblubieniec z rąk ojca; Wilhelm Henryk zauważył to i uczuł się dotkniętym.—Karolino! zawołał, za ledwie mogąc głos do potrzebnego przyciszenia zmusić—Co ci jest? W duszy twojej jest coś czego pojąć nie mogę. Czy to jest żal, czy trwoga, niedowierzanie mi, czy smutne przeczcucia?

—Nie... odparła mu cichutko—Może być wszystko dobrze... może...

—Tak! odparł książę namiętnie—tak, na Boga! musi być wszystko dobrze! Będiesz szczęśliwą tak, jak marzyłaś kiedyś, zanim zaczęłaś niedowierzać mi... Będiesz szczęśliwą, Karolino, bo ja szczęśliwym czuję się przez ciebie i przez ciebie jedynie być nim mogę...

Słowa te zostały na papierze pamiętników, zżółkłym przez czas—słowa skreślone atramentem, który zbladnął; a cóż się stało z niemi w życiu?

(Dokończenie nastąpi)

## LORD FAUNTLEROY

przez

Franciszkę Burnett.

Książka Franciszki Hodgson-Burnett, która otrzymała honorarium najwyższe ze znanych w handlu księgarskim za dzieło pióra kobiecego: „Mały lord Fauntleroy,“ została już przełożoną na nasz język przez panią M. J. Zalewską i wyszła nakładem Gebethnera i Wolfa—rzecz dająca się czytać tak miło i z takim zajęciem, że nietylko młodzi czytelnicy zgodzą się na to zdanie krytyki angielskiej, iż posiada ona: „an irresistible charme and unbounded popularity.“ Jest to historia dziecka, urodzonego, i wychowanego w Ameryce wśród demokratycznego układu tamtego społeczeństwa, więc w pojęciu, że wszyscy ludzie są, jako tacy, równymi sobie, że zatem każdy człowiek rozumny powinien być w obojętym swoim jednakowo uprzejmym, grzecznym—jednakowo ludzkim dla wszystkich, czy są bogaci lub ubodzy, czy należą do klas wyższej inteligencji, lub też pracują na chleb w jakikolwiek godziwy sposób.

Jest to obowiązek, powstały, nietylko z nakazu praw moralnych, ale i z uczucia delikatności, oraz tej dobroci, która nie pozwala nam nikomu dokuć, nikomu wyrządzić przykrości, co jest też przymiotem koniecznym każdej osobistości silniej uczuciowej, każdej osobistości szlachetnej. Kto

nie jest naturą tak twardą i grubą, że nie dba o to, czy sprawia przykrość, czy zadaje cierpienie, ten nigdy nie będzie poniżał nikogo wyniosłością swoją: nigdy nie zacięży nad nikim wyższością czy majątku, czy położenia w świecie, czy nawet lepszego wychowania i wykształcenia umysłowego. Jest przysławie, że zło dobrego nie wyciągnie, ale powinno istnieć wersja jego druga, że dobro wywołuje dobro, że je rozbudza, a nawet wytwarza w piersiach ludzkich, i jak Korzeniowski napisał, że „jest koło czarodziejskie, co piękność etacza światłem z niebios odbitem,“ tak można śmiało twierdzić, że dzieje się to samo względem dobrego. Wytwarza się w koło niej krąg równie świetlany. Tak jest z małym lordem Fauntleroy. Niepojmujący, aby nierówność położenia życiowych zaprowadzała nierówność w stosunkach osobistych człowieka względem człowieka, tak wszystkich darzy jednakowo względami swego uczucia i sympatii dziecięcego serca, tak go boli jednak cierpienie każdej istoty ludzkiej, że w zamian otrzymuje życzliwość, przychylną wszystkich, a ztąd wyradza się w niem naturalnie i taki stan umysłu, iż nie jest zdolnym wyobrazić sobie złego.

Wszyscy go lubią, wszyscy go kochają: każdemu ludzkie mają dla niego uśmiech, każde spotkanie spojrzenie wyraża życzliwość, i to zapewnia mu nietylko istnienie wyjątkowo przyjemne i od wszelkich przykrości wolne, ale wyrabia w nim samym wyższą miłość bliźniego, wyższe uszanowanie człowieka—optymizm szczęśliwy, który w wyniku swym ostatnim daje, co do jego osoby, co do jego losu, rzeczywistość szczęśliwą. Staje się tak kochanym, że dla niego złość łagodni pociśki, i wszystko ułatwia mu się, upiększa w życiu. Osiąga wszystko przez dobroć, przez poczciwość, względem każdego szlachetnie tkliwie uczucie.

Książka jest pisana więcej dla matek, niż dla dzieci, a nawet dziecko służy tu jedynie za środek krytyki i wykazania jak układ społeczny ze swymi różnicami obyczajowymi w stosunkach uboższego i bogatego—w stosunkach tych, którzy stoją wyżej na drabinie społecznej, do tych innych, stanowiących tłum zbity dołem—jest nie-naturalny wobec pojęć moralnych, rządzących społeczeństwem nowożytnym. Obojętność na los klas uboższych, klas pracujących—lekceważenie ich i traktowanie jak coś niższego—coś, czem się gardzi i uważa jako proch pod nogami naszymi, psuje klasy wyższe, bo pozwala im rość w uczuciu nieludzkości, w negacji wszystkiego, co stanowi cnotę człowieka z dobrem sercem. Psuje naodwrot i klasy niższe przez obrazę ich godności osobistej, przez żal gorzki, który ztąd wynika—przez zazdrość, której nie łagodzi nic, a wszystko rozżarza i podnosi do stopnia nienawiści, skoro jeszcze przyjdzie spór o moje i twoje, o podział materyjalnego majątku ludzi.

Autorka nie dotyka przecież tej strony sprawy społecznej, nie dotyka kwestyi ekonomicznej, i obraca się wyłącznie w zakresie moralnego uczucia równości wszystkich ludzi, we współczuciu ich wzajemnem wśród stosunków życia powszednich. Pan w pałacu i biedak w chacie, biedak w ubogim domku przedmieściowym,—to wszystko ludzie są, zarówno winni sobie uszanowanie przez uprzejme formy w obcowaniu ze sobą—zarówno winni sobie szacunek, jeżeli na to zasługują, i współczucie w cierpieniu, które powinno się wykazać ze strony bogatego pomocą bratnią.

W tej szlachetnie pomysłanej i wybornie napisanej książce dlatego bohaterem jest chłopczyzna mały, aby wykazać dobitniej różnicę rządzącej ludzkości zasady od czynu: teorii od praktyki życia. Taki tu jest dyssonans, takie zaprzeczenie ideałów, z których czynimy sobie gwiazdę naszą przewodnią, że cały układ społeczny może się wydawać opartym na fałszu i obłudzie—na faryzejskiem kłamstwie, a jest w rzeczywistości przewagą interessu nad prawem—jest przez nawyknięcie, przechodzące z pokolenia w pokolenie, moralnem zaćmieniem oczu. Dla tego nie można w żaden sposób uważać tej książki o dziecku za książkę dla dziecka. Nie dziecko ma uczyć starszych, ale od starszych naukę życia przy-

jmować; tu przecież ratuje sytuacją to przynajmniej, że matka małego lorda Fauntleroy jest wychowawczynią dobrą, od której dziecko przejęło wszystkie swoje cnoty i w niewinności swojej uważa je za kodex życia, którym się rządzi, bo rządzić się powinni, wszyscy ludzie uczciwi. Przykład rodzicielskiego domu tak urobił tę dziecięcą idealnie piękną, że przytem młodzież, dla której książka została w tłumaczeniu przeznaczoną, już wie przecież o złych i dobrych, wie zatem, że może być człowiek, którego starość zastała niedość jeszcze przez mądrość życia podniesionym do pojęć czystego rozumu, aby odrzucił przesady i stanął na gruncie tej najwyższej moralności, która jest stosowaniem w praktyce postępów naszych tego, co stawiamy sobie jako ideał prawdy i szlachetności ludzkiego ducha.

W Anglii książka Mrs Hodgson Burnett jest uważana za taką krytykę obyczajów za takie przeciwstawienie teorii i praktyki. Nienaprawdę zrobiono rzecz na sztukę teatralną, bynajmniej nie dla dzieci, grywaną tak w Anglii, jak i w Ameryce, w Bostonie. Bostońskie czasopismo *Boston Herald* podało nawet rozmowę autorki z dziewczynką, przedstawiającą na tamtejszej scenie małego lorda Fauntleroy: Elżunia Leslie, a która mieści w sobie genezis powstania książki. Angielka z urodzenia, zamieszkała w Ameryce, wychowywała syna nietylko w pojęciach tej moralności chrześcijańskiej, która musi być i jest w zasadzie swej demokratyczną, ale i według obyczajów rzeczywiście demokratycznych, pozwalających dziecku bogatemu zbliżyć się tak do ludzi ubogich, aby mogło poznać ich potrzeby i braki, więc następnie uczuć w danym razie wzruszenie litości, obok naturalnego już, jeżeli sfałszonem nie zostanie, poczucia się do obowiązków uprzejmej grzeczności względem każdej istoty ludzkiej. Syn autorki: Vivian Burnett, posłużył jej za wzór małego bohatera powieści. Jego uczuciowość, złączona z naturalną grzecznością i uprzejmością dla każdego: z grzecznością i uprzejmością, której nie nadawał odcienia różnic żadnych stan i położenie towarzyskie ludzi, nasunęły jej myśl jak obracaćby się mogło dziecko tak wychowane i „sposobione, gdyby przypadek jakiś przeniósł je nagle między wyniosłe dumną arystokracją angielską?

Od nici do kłębka rozsunęły się przed oczyma Mrs Burnett wszystkie wrażenia i stany małego ducha, w położeniu takim: stanął jej przed wyobraźnią rozstrój moralny, jakiby nastąpić wtedy musiał w umyśle i sercu dziecka, jeżeliby starsi nie pojęli tego i następstw wypływających ztąd koniecznie. Spostrzegłszy następnie, że rzecz nadaje się do opracowania literackiego, że uwydatnia silnie anomalią arystokratycznego układu życia wyższych klas w Europie, w stosunku do przepisów etyki i tych ogólnych ideałów piękna i dobra, na których się opiera systemat moralności nowożytnej, zabrała się do pióra.

W przeciągu sześciu tygodni napisała powieść, nie pierwszą już przecież—powieść za którą jak wiemy, otrzymała od wydawcy 3.750 funtów sterlingów, a której sława prędko przebiegła Atlantyk i w Anglii, dotąd autorka przybyła właśnie, znalazła wielki, wyjątkowy rozgłos, na który zasługuje pod względem wszelkim. Przełożenie jej na nasz język, uważać też trzeba za rzecz pożądaną—nietylko dla młodzieży.

Jest to książka, którą może czytać z wielkim pożytkiem tak matka, jak ojciec dziecka, któremu się dostanie na gwiazdkę, a talent pisarski, złączony z prostotą, wybornie odpowiadającą przedmiotowi—z miłą jakąś słodyczą i wdziękiem wyrażenia, sprawia, że najpoważniejszy umysł znajdzie przyjemność w przeczytaniu tych kart uczciwie, rozumnie i miło kreślonych.

Rodzice znajdują tu przecież naukę większą nawet, niż dzieci: naukę, jak życie ich, zadające kłam zasadom, na których chcą oprzeć wychowanie dzieci, może głęboko wstrząsnąć młodemi istotami i jeżeli to nie będą tak idealnie anielskie duszyczki, jak mały lord Fauntleroy, wsieje się tam ziarno chaotycznego pomieszania pojęć, z którego wyjść musi, albo obniżenie się moralnych ideałów dziecka, albo ta

rzecz okrutna—rzecz może najboleśniejsza dla serca ludzkiego: sąd dziecka nad rodzicami—sąd, który wydać musi wyrok potępienia na to, co kocha.

A jaki to dla życia i jego uczuć przyszłych niebezpieczny precedens! Jaka to rzecz podkopująca przyszłość, skoro raz uczucie miłości rozłączy się w pojęciu naszym z wartością moralną ukochanego przedmiotu!

Obok tego młoda istota, tracąca wiarę w moralność rodziców, przestaje zarazem wierzyć ich radom i przestrogom, przestaje wierzyć, zali kierunek życia, który chcą wytknąć dla jej przyszłości jest kierunkiem strony życia prawej—kierunkiem uczciwym i szlachetnie podniosłym.

Spojrźmy na dzieje, obejrzyjmy się po za siebie i pomyślmy, czy to prawdą nie jest? Gdzie naprzykład ojcowie nie przedstawiają synom wzoru szlachetnej obywatelskości i poważnej mądrości życia, czy ta gorąca młodość, która się rwie do czynu nie omyli się przypadkiem co do dróg działalności, które sama sobie wybierać musi?

Myli się tak nieraz i co do wszystkich pojęć o życiu—co do wielania w nie ideałów drogiej sobie. Bywa i to nierzadko, że widząc, jak rodzice posiadane ideały nigdy, lub mało kiedy w żywym życiu stosują, zacznie je uważać za fikcyjne kłamliwe, za fałszywe, robione kwiatki, przypinane do grubego kożucha życia—za ideologią nieużyteczną, która bałamuci jedynie i albo dzieci wcale się bez nich obywać zechcą, albo stworzą sobie inne, wręcz przeciwnie tamtym, które były drogami przeszłości i w ten-to sposób ojcowie, matki pewnych pokoleń, stają się bezdzietnymi!

Tak to zrywa się nie tradycyi—w ten sposób wytwarzają się przepaści, w których może zginąć to, co dla szczęścia i cnoty tak rodzin, jak społeczeństw, powinno żyć nieśmiertelnie przez przekaz podania i trwać iskrą idei pod lat popiołem.

Mrs Franciszka Hodgson Burnett, którą londyński *Times* nazywa: „the most successful of modern authoresses“, urodziła się w 1849 r., w Manchester, gdzie przebywała do lat piętnastu. Ruina majątkowa zmusiła rodziców do przeniesienia się poza Ocean. Osiedlili się w Ameryce, w mieście Knoxville, w Stanie Tennessee, gdzie córka poszła za męża w 1878 r., lecz obecnie przebywa z mężem i dziećmi w Washingtonie a *Little Lord Fauntleroy* nie jest jej pierwszą pracą literacką. Zaczęła pisać bardzo młodo i ma już poza sobą długi szereg napisanych iz większem mniejszem powodzeniem przyjętych powieści.

W opisie stosunku do matki małego lorda, który w rzeczywistości ma obecnie lat dwanaście, cała strona uczuciowa i moralna jest najzupełniejszą prawdą. Matka jest nawet tak nazywaną w życiu, jak w książce: „Dearest“ najdroższa. Tłumaczka przemieniła to na „Kochańca“, co mniej więcej znaczy to samo. Przekład wyszedł zpod utalentowanego pióra i czyta się go z przyjemnością, szkoda tylko, że nie został dokonany wręcz z oryginału, co tłumaczka z sumienną szczerością przyznaje w przedmowie, iż przekładała z francuzkiego. Że to uczyniła, że mamy książkę Mrs Hodgson Burnett w języku naszym,—należy podziękować za to tej pani, bo mamy książkę bardzo dobrą, z której wychowawcy i matki mogą korzystać więcej nawet, niżeli wychowywana młodzież.

M. Ilnicka.

## NOWINY PARYŻKIE.

Paryż 1 Grudnia 1888 r.

Zaduszki. — Polityka. — Rada miejska i szczątki śmiertelne Baudina. — Panteon i zdjęcie krzyża. — Demonstracja 2-go Grudnia. — Znowu walka stronnictw w parlamencie i w kraju. — Oskarżenie p. Gilly; *ridiculus mus*. — Wilson w Izbie. — Hasło i rewizya. — Sprawa Chambige'a w Algeryi. — Wrażenia. — Literatura i obyczaje. — Sprawa Stanisława Prado. — Śmierć Gondineta. — Występ Patti w Wielkiej Operze.

Jak każdego, tak i tego roku, Paryżanie odprawili zaduszki, z wielkim napływem ludności

na wszystkie cmentarze, z całym przepychem kwiatów znoszonych na groby. Czy w tej manifestacji pamięci o umarłych mamy widzieć rzeczywiście głębokie uczucie tej pięknej czci pogrobowej dla przodków i krewnych? czy tylko formę odwiecznego kultu, który przechowała poważna tradycja? Trudno osądzić,—jak tu jednak pogodzić te codzienne, co chwilowe prawie manifestacje brudnego i zimnego materializmu z tem głębokim uczuciem religijności, jakiej wymaga od nas cześć oddawana zmarłym, a zatem głęboka i niezachwiana wiara w przyszłość, w zmartwychwstanie, w nieśmiertelność duszy?

Dosyć, że teraz, jak dawniej zaduszki odbyły się uczciwie, a uroczyście, bo i czas, choć zapłakany, nie zwrócił z drogi tłumów śpieszących na mogiłki. Ludzie politykujący, a na ich czele rada miejska Paryża, która jak wiecie, w najważniejszej większości oddana jest wspomnieniom Komuny, przygotowuje inne nie religijne już, ale republikańskie zaduszki na Drugiego Grudnia: zamierza, mianowicie, w tym dniu uczcić rocznicę zgonu republikańskiego Baudina—poległego na barykadzie zburzonej przez działa Bonapartego podczas zamachu stanu w r. 1851—przeniesieniem zwłok jego do Panteonu.

W tym celu uchwalono naprzód w radzie ostateczne wywłaszczenie Kościoła Katolickiego z Panteonu, a to na rzecz wielkich mężów ojczyzny. Ten akt ważny i znamionujący siłę rozumu i władzy municypalnej, zależał na zdjęciu ze świątyni—w tej chwili zresztą już uprzątniętego ostatecznie,—pozłacanego krzyża, który przecież wzniesiony tam został, za ministeryum deisty, Juliusza Simona, po rozprawie z Kommaną. Co ten krzyż mógł przeszkadzać, spoczywającym już i mającym dopiero spocząć w lochach kościoła nieboszczykom, trudno odgadnąć; bo jeśli wnoś czasu tam ich zwłoki, w mniemaniu swoim składają im przez to cześć duchową; jeśli to wiara nieśmiertelność, otwiera im drogę do tej w świątyni—to gdzież większy i piękniejszy symbol tej wiary, że duch samą śmierć zwyciężył, jeżeli nie w tym krzyżu, który rozkuł kajdany niewoli i upokorzenia?

Postanowiono tedy odgrzebać prochy—bo od 1850, wątpię, aby coś więcej niż prochy znalazło się na dawnym cmentarzu Montmartre z posła Baudoina—i wraz z kilku kolegami nieboszczyka dziś również w proch rozsypanemi, przynieść tryumfalnie do Panteonu—powiadają: na wieczny spoczynek i chwałę! Ale my wiemy, co to znaczą tutejsze wieczności. Zobaczymy więc ową demonstracją, czy się obejdzie bez guzów... Ale nie przekraczamy granicy czasu. Dzień wyznaczony na uroczystość jest jeszcze dalekim, więc w przyszłym, da Bóg, liście, powiem wam, jak się to wszystko odbyło <sup>1)</sup>.

Tymczasem w Izbie, w mieście i w kraju, znówu panuje wielki niepokój i zamieszanie. Wszystkie pierwiastki rozkładu ciała politycznego weszły w ruch—gotuje się, jak w kotle. Bulanżyci, anarchiści, monarchiści, bonapartyści, oportuniści i wszelkie frakcje najskrajniejszych gromad Izby Poselskiej walczą dziś z piórem w rękę, a zniewagą na ustach, walczą tak, jak gdyby jutro musiano się już rozprawić w sposób ostateczny i wystąpić z bronią w rękę do otwartej walki. Wiemy jednak, że do tego nie przyjdzie jeszcze tak prędko; ale są to złowieszcze znaki i nikt nie może dziś zaręczyć, że jutro z tego chmurnego i posepnego nieba, nie uderzy grom potężny. Miejmy nadzieję, że obłęd nie dotknie tego narodu, który wobec grożącej mu ciągle sąsiedniej zawiści puszcza wodze wszelkim zachciankom i chuciom swoim, jak gdyby on sam jeden tylko rządził i sądził na świecie! Patrząc na to, myśli człowiek, jakiegoż to potrzeba cudu boskiego, aby ci weseli Francuzi nie zaszli jeszcze na jaką smutną Kalwaryę!

Jako groźne symptomata tego chorobliwego stanu mieliśmy tu trzy sprawy w kryminale, z których każda mogłaby wystarczyć na obszer-

na i zajmującą kronikę. Ale zmuszony do wielkiej treściwości w swych listach, muszę się ograniczyć do prostego scharakteryzowania każdej. Zaczynam od ostatniej z porządku, bo to się najlepiej wiąże z tym stanem politycznego rozprzeżenia, o którym tylko co była mowa. Jest to groźny i niechybny symptomat rozkładu.

Jeden z posłów, niejaki p. Gilly, wczoraj jeszcze nieznan nikomu, dziś stał się bohaterem najsmutniejszej i najdotkliwszej farsy, jaką może odegrać człowiek, który się nie lęka podnieść ręki na to wszystko, co dotąd było uważane za zacne, poczciwe i godne! Człowiek polityczny, który staje wobec własnego parlamentu i powiada, wskazując palcem na każdego z członków tego ciała:—Tyś oszust! tyś złodziej, tyś matacz, a wszyscy jesteście Wilsonami, na większą lub mniejszą skalę—taki człowiek, jeśli niema w rękę potęgę Cromwella i nie może jednym zamachem miotły wyrzucić wszystkich tych śmieci precz i uwolnić narodu od tego robactwa, co go toczy—człowiek taki, powiadam, lepiej uczyni, milcząc, bo sobie i drugim oszczędzi zawodu, a powiedzmy: i śmieszności.

Tak się stało w tej sprawie. Ten p. Numa Gilly, burmistrz z Nîmes z południowej Francji, dawniejszy *ouvrier*, samouczek i niedouczek, głupi całkiem człowiek, choć może nie zepsuty moralnie, porwał się jak z motyką na słońce i odegrał rolę, która zamiast zgnieść i skruszyć łotrzyków i nadużycia, jego samego okryła tylko śmiesznością.

Wystąpił Numa otwarcie i śmiało: zarzucił posłom, szczególnie kommissyi budżetowej, przekupstwo, nadużycia i szachry. „Wszyscy wy jesteście Wilsonami, gorszymi sto razy niż zięć Grévy'ego” i zagroził, że ma na to autentyczne piśmienne dowody. I miał je, ale tylko w części, tymczasem przeciwnicy zmieszani z początku, rozważszy sprawę powoli, zwachali się, złączyli i wystąpili *in gremio* przed sąd przysięgłych, gdzie prokuratora za podmuchem z ministeryum zdusiła całą sprawę. Przysięgli—o, sprawiedliwości ludzka, uznali Gilly'ego niewinnym, ale też nie potępili żadnego z oskarżonych, co zresztą nie było przedmiotem procesu i mogło tylko wystąpić w excepcyi Gilly'ego. Ale ten odmówił rozprawy, dopominając się stawiennictwa wszystkich dwudziestu członków kommissyi.

Numa lekcewał sobie przewody sądowe, miał bowiem w zanadru już przygotowany druk broszury z owemi dowodami, któremi się tak chwilił. Tymczasem dowody te nie pokazały nic nowego. Wtedy spróbowano wyzwać go na rękę, ale filister-ouvrier odmówił stawienia się na placu i zasiadłszy na swem burmistrzowskim krześle, dotąd nawet nie pokazał się w Izbie. Słowem: o rezultacie całej tej wielkiej zawieruchy powiedzieć trzeba, że góra porodziła mysz.

Rozumnie zrobił nie pokazując się w Izbie Poselskiej p. Numa. Dowodzi tego najlepiej ostatnie wystąpienie w tej Izbie sławnego Wilsona. Myśląc on, że wszystko już poszło w zapomnienie zjawił się 24 Listopada na posiedzeniu. Ale w jednej chwili, jakby od zapowietrzonego, sąsiedzi z ławy poselskiej popuszczali swe miejsca i stała się próżnia wokoło. Niezapominajmy wszakże, iż w Izbie samej są indywidua, które Wilson zobowiązał był niegdyś swą brzęczącą uprzejmością. Nosił go oni wówczas na rękach, zjadali u niego obiady, przyjmowali jego usługi, wciskali się przezeń do Elizeum; całowali w brzuch Grévy'ego i dziś jeszcze o zmroku chodzą do pałacyku ex-prezydenta, na Placu Jenajskim. Ale w Izbie *mores!* Obrażona bezczelnością Wilsona większość republikańskiej Izby, zwłaszcza ci, którzy mieli czyste sumienia, chcą mu dać policzek, a nie śmiać wprost uderzyć, znaleźli sposób uboczny. Zażądali zawieszenia posiedzenia, nie wymieniając przecież powodu. Jakie było położenie pana zięcia—łatwo sobie wyobrazić, ale nie stracił on czupryny (*toupet*, ulubiony obecnie wyraz), wyszedł spokojnie z innymi, a w swojej *Petite France*, zdał o tem sprawę, jak o rzeczy, która mu przynosi zaszczyt, bo żaden z oskarżycieli nie śmiał zabrać przeciw niemu głosu. Rzeczywiście można tylko jedno o nim powiedzieć: bezwstydnym!

Jak w roku 1848, a więc czterdzieści lat temu, hasłem wszystkich stronnictw idących do szturm, było słowo: „reforma!” tak dzisiaj jest: „rewizya!” — rewizya, ma się rozumieć, konstytucyi. Wszyscy się jej domagają, a nawet i sam rząd. Rzecz przecież dziwna i niesłychana, że tej konstytucyi nikt jeszcze dotąd nie wykonał i nie zastosował *integralnie*... Zdawałoby się zatem, że sądząc rozważnie, należałoby zacząć od tego, aby prawo kardynalne zostało wykonane w całej swej rozciągłości, a gdyby się przekonano, że w zastosowaniu jest to niemożliwym, dopiero wówczas przystąpić do poprawienia tego, co się okazało wadliwym; ale tu inaczej sobie poczynają. Nie tylko, że nawet w obozie rdzennie republikańskim nikt tej konstytucyi nie broni, ale jeszcze każdy chwytając rzucone na wiatr słowo i woła: „Reformy i rewizyi!” Wiemy tu z doświadczenia, jak się tu kończą podobne usiłowania i próby. Jedna chwila... jeden wybryk uliczny, może wszystko wywrócić...

Ale wracam do mych dwóch spraw w kryminale, które na początku tego miesiąca i nim się zagotowało w politycznym kociołku Izby, zajęły i przeciagnęły ku sobie uwagę powszechną do tego stopnia, że tu w Paryżu zapomniano o wszystkim, niewyłączając literatury i teatrów nawet; zapomniano tak dalece o wszystkim, że jakie pół tuzina głów mniej więcej koronowanych przesunęło się na tutejszym bruku, bez żadnego innego rozgłosu, prócz sławnych reklam modniarek i krawców.

Pierwsza sprawa, która się toczyła w trybunale algierskim, miała tę szczególną właściwość, że sąd i publiczność chciały w wypadkach dramatu życia widzieć cierpkie owoce, wykołejonej dziś literatury, a raczej belletrystyki francuzkiej. Jest w tem może odrobina prawdy; ale ja byłem zawsze i jestem tego przekonania, że literatura nie tworzy nigdy i nigdzie obyczajów społecznych i jest raczej sama ich odbiciem. Jeżeli pomyślimy do jak szczupłej gromadki redukuje się owa „czytająca publiczność, ów naród, pochłaniający plody ducha ludzkiego”—przyjdziemy do przekonania, że nie literatura obyczaje, ale obyczaje tworzą literaturę, że wszystkie arcydzieła zawdzięczają swoją wielkość i znaczenie doskonałemu odbiciu tego, co nas wszystkich lub samego autora, otaczało w swym czasie <sup>1)</sup>.

(Dokończenie nastąpi)

## ZE SPUSCIZNY OLBRZYMA.

(„Cała Lira” Wiktora Hugo).

napisał

MIRIAM.

(Dalszy ciąg).

VIII.

„Miłości, twoja potęga niezłomna wszędzie dosięga. Urok na licach dziewicy w wieśniaczej składasz świetlicy. Na morskie zstępujesz tonie, każdego moc twa owionie: Bóg nieśmiertelny na niebie, na ziemi człowiek nietrwały—nie ustrzeżę się od ciebie: przesyjesz ich swemi strzałami” <sup>2)</sup>—wołał już w zaraniu sztuki i cywilizacji na kontynencie naszemu nieśmiertelny twórca „Antygony.” A przed nim jeszcze i po nim, aż do naszych czasów najwięksi wieszcz, poeci, artyści, najpotężniejsze umysły, najszlachetniejsze serca, najwięksi geniusze zgadzali

1) Przeniesienie zwłok Baudina, oraz znakomitych mężów rewolucyj, jak Hoche, Carnot, Marceau, do Panteonu odbyło się na dopiero d. 14 Lipca 1889 r. Same Izby prawodawcze biorą na siebie tę sprawę (P. Red.)

1) Zdanie to sz. naszego korespondenta uważamy za zbyt bezwzględne. Odbiływanie jest wzajemnem. Literatura przesiąka podniosłością lub poziomością życia, ale i sama także nad niskie poziomy życia podnosi, a zdrożnościami swemi do zepsucia w życiu przyczyniać się może. (P. Red.)

2) Sofokles: „Antygona”—Stasimon III (Chór), strofa I; przekład Kaszewskiego.

się i zgadzają jednogłośnie, że jest to jedyne może uczucie, z pod władzy którego nikt, absolutnie nikt wymknąć się nie zdoła; które przepelnia wszystkie świata zakątki i wszystkie serca ludzkie; które jest zarazem nadierem i zenitem, początkiem, źródłem i szczytem, koroną wszystkich radości i smutków życia; które nie zrodziło się i nie umrze, istniejąc wiecznie i nieśmiertelnie; którego świętej, słodkiej a niezwykłej mocy wszystko ulega i nigdy ulegać nie przestanie; które jest pierwszą przyczyną, ojcem i matką wszystkich najpiękniejszych, najidealniejszych porywów i popędów człowieka i wszystkich najwznioślejszych wytworów jego ducha sztuki wogóle i poezji w szczególności.

Amor primo trovò le rime, i versi,  
I tuoni, i canti ed ogni melodia <sup>1)</sup>

powiada słynny autor „Rolanda zakochanego“ Matteo Maria Boiardo, a Marco Antonio Canini, z którego pięknej „Księgi Miłości“ czerpiemy tę cytate, uzupełnia ją obrazową uwagą, że prawdopodobnie pierwszymi poetami byli „ten, kto ujrawszy wschód słońca, porwany został tym czarodziejskim widokiem, i ten, kto poraz pierwszy stanął przed cudnej piękności kobietą.“ <sup>2)</sup> Tensam Canini przytacza z „Roczników Japonii“ podanie, według którego geniusz męzki, ujrawszy geniusza żeńskiego, wykrzyknął: „Oh, co za szczęście spotkać takie czarowne dziewczę!“ — co miało być początkiem poezji japońskiej. I niewątpliwie, najsilniejsze to uczucie, jakim jest miłość, na najbardziej udarowane duchy twórcze, jakimi są poeci, najsilniej działać musi, o czem świadczy choćby to tylko, że wśród licznego grona pieśniarzy wszystkich krajów i epok nie znaleźli ani jednego prawie, któryby nie pisał o miłości. Ci opiewają jej radości, owi męczarnie, będące jej skutkiem; jedni, jak Petrarca i Dante, przenoszą ją w sfery jakiegoś ascetycznego idealizmu, drudzy, jak Heine, albo w ostatnich czasach Richerin, poświęcają swą uwagę i pieśni swe wyłącznie prawie zmysłowej jej stronie; najwięksi, nie chyląc się ani ku jednej, ani ku drugiej ostateczności, traktują to najpiękniejsze z uczuć ludzkich *poludzkim*, oddają sprawiedliwość zarówno duchowemu jak zmysłowemu jego pierwiastkom, wiążą je w jedną harmonijną całość i w ten sposób dają nam w utworach swych rzeczywiście, prawdziwe zwierciadło serca ludzkiego.

Do tych ostatnich należy i Hugo. Nie znaleźć u niego ani rozpasania bachanckiego, ani hallucynacji ascetycznych ani rozszalałego pożaru zmysłowych żądź jedynie, ani też bezcielesnych widziadeł rozmarzonej wyobraźni. Erotyka, zajmująca sporo miejsca w każdej nieledwie z jego ksiąg lirycznych, porywa nas właśnie swą prawdą, swą szlachetnością w odzwierciedlaniu najpodnioslejszych, ale nie wybujałych chorobliwie, i dostępnych dla każdego człowieka, zasługującego na to miano, porywów serdecznych, swem zdrowem, żywiącem, lecz nieprzepalającym i nie rozgorączkującym ciepłem. Tak, i ciepłem. Powtarzam to raz jeszcze bez względu na częste zarzuty, jakie zdarzało mi się czytać w krytykach francuzkich i obcokrajowych, że poezya miłosna W. Hugo, pomimo całej wspaniałości retorycznej, jest zimną. Nie będę zbijał tych insynuacji, świadczących o złej woli lub o zupełnej nieznanomości dzieł wielkiego poety francuzkiego, a czytelnikom, którzy dali się uwieść tego

1) M. A. Canini. Il libro del amore, vol. I, p. 9. „Miłość pierwsza wynalazła rymy, tony, pieśni i wszelką melodię.“  
2) Ibidem, p. 9.

rodzaju głosom, radzę przeczytać choćby tylko parę ustępów z „Liści jesiennych“ (XVII i XVIII), „Date lilia“ z „Pieśni zmroku“, urywki XI i XXI z „Głosów wewnętrznych“, „Oh, kiedy śnię...“ z „Blasków i cieni“, kilka kawalków z „Pieśni ulic i lasów“, a nadewszystko słowicze, pozbawione wszelkiego obrazowego „bombastu“, wyśpiewane, prosto z serca idące pieśni, składające się na cykl „Dusza w kwiecie“ w pierwszym tomie „Kontemplacyi.“ Nie mam tu miejsca na przytoczenie żadnego z tych ustępów: niechaj więc wspomże mię obchodząca tu nas specjalnie „Cała lira“ — i niechaj niewierzących upewni o prawdzie słów moich, choćby ten, pełen niewysłowionej tkliwości i skrytego żaru, a świadczący zarazem, jak wybornym, subtelnym był Hugo psychologiem, znawcą serc kobiecych, niewielki ustęp z poświęconej wyłącznie miłości księgi VI:

#### Co mówi ta, która nic nie mówiła.

Zagadka tai wewnętrzną treść swoją;  
O pewnych ranach od złotych strzał  
Ludzie niekiedy mówić się boją;  
W cieniach gałęzi, wśród czarnych skał.  
Niejedna ginie ptaszyna mała.  
Tyś mi rzekł nieraz: ja kocham cię!  
Jam ci tak nigdy nie powiedziała.  
Tyś hojnie rzucił przysięgi swe;  
Z ust moich powieść nie wyszła tkliwa.  
W miesięcznych blaskach jeziora toń  
Marzy, niemieje, w noc się rozplywa,  
Milknie, gdy księżyc wychyli skroń;  
Miałeś mi za złe moje milczenie?  
Oh, jak schnie serce w milczeniu tem!  
Czułam, gdyś przy mnie był, że się mienię.  
Życie mi cudnym zdało się snem.  
Za dużoś mówił, jam zbyt się kryła:  
Miłości każdej kolebką cień.  
Są rzeczy, którym wstydlivość miła;  
Tkliwość gniazd razi zbyt jasny dzień.  
Dziś — ach, jak w przykryj wieczornej głuszy  
Smętnie się chwieją wierzchołki drzew! —  
Rzucasz mię, dojrzeć nie mogąc duszy  
Mej, otulonej w milczenia kwef.  
Więc się rozejdzim: snadź tak kazano.  
— Jak ten las wzdycha tysiącem ech! —  
Jutro, co ujrzy mnie rozplakana,  
Na twoich ustach snadź znajdzie śmiech.  
To słodkie słowo (niech je czas zgłuszy):  
„Kocham“ — dziś strasznie serce mi rwie;  
Tyś je wymawiał, lecz nie miał w duszy,  
Jam, nic nie mówiąc, myślała je.

Wiązaniem, spoidłem wśród całej masy epizodów, sylwetek, opisów i opowiadań — są ustępy ogólniejszej treści, w których poeta wyjawia swe poglądy na miłość wogóle. Więcej, niż gdzie indziej, jest tu Hugo zupełnym optymistą, spotrzymującym tylko strony jasne, a zamykającym oczy na wszystko, co może boleć, smucić i przygnębiać, albo przynajmniej uważającym to wszystko za stan przejściowy jedynie. Miłość jest dlań źródłem nieskończonej szczęśliwości; życie człowieka, dla którego zamknęły się jej wrota, posępny i ciężkiemu mu się wydaje. Prześliczny obrazek na tle biblijnym myśl tę z całą wypowiedzią stanowczością:

Marząc i przyglądając się błękitnookiej  
Dziewie, co tu do źródła zwracała swe kroki,  
Gad spostrzegł dnia jednego, że jest zakochany,  
Sen, spokój — wszystko pierzchno. Jak tu się z tej  
[rany  
Wyleczyć? co poradzić na ból, co wciąż wzrasta?  
Smutny siedział raz sobie koło bramy miasta.  
Starzec jakiś przechodził. Rzekł więc doń: O, panie,  
Ratuj mię, radź mi! — Starzec usłyszał wołanie

I zbliżył się. A miał on długą, siwą brodę;  
Z wiatrem się kołysały palm wierzchołki młode,  
Słońce do snu się kładło za pustynne niwy.  
— Co ci jest? — spytał starzec — Jestem nieszczę-  
[śliwy —  
Rzekł Gad — kocham kobietę, to powód katuszy.  
— I jam znał — odparł starzec — ten ból żrący  
[w duszy,  
Gdym był młody i ogniem me oczy pałały,  
Jak dziś twoje. Lecz teraz włos mój — patrz — już  
[biały,  
Chłód mam w kościach, wzrok przygasł, drży nie-  
[pewnie szyja,  
Wszystko mi smutne, ciemne; dzień każdy co  
[mija,  
Jest mi nocą, co spada na żywota drogę.  
Cierpię! a cierpię, że tak cierpieć, jak ty, już nie  
[mogę. <sup>1)</sup>

Zabijającą jest — według poety — tylko pustka w sercu. Wszystkie bóle, troski, cierpienia, jakie miłość sprowadzić może, są przez swój związek z uczuciem miłości miłe i drogie człowiekowi i przyczyniają się tylko do tem większego szczęścia ostatecznego. Takiej boleści, w miłości źródło mającej, o jakiej Leopardi powiada: *anco sovente a tal venuto il gran travaglio interno che sostenere nel può forza mortale*, <sup>2)</sup> — Hugo nie pojmuje. Dla niego miłość nie jest matką walk, bojów i rozpaczliwych miotañ się wewnętrznych, lecz przeciwnie: jakąś kwintessencją słodczy, tkliwości szczęścia niezmiernego, która wszystkie przykrości zacierza i wynagradza. Jedynym strasznym bólem, jaki poecie wydaje się nie do zniesienia, jest uczucie bez wzajemności. To też z uniesieniem dziękuje niebu, że takiej miłości nigdy nie zaznał:

Doświadczałeś mię, Panie, wszystkimi próbami.  
Cierpiełem. Równien jestem wdowom, co nocami  
Pracując, we łzach całe, roją smutne mary.  
Nie zgrzeszyłem, a jednak ciężkie znoszę kary.  
Gorzkiem jest moje życie, a trudnem me dzieło.  
Co zrobiłem, — chimery postać na się wzięło.  
Po znojnjej, ciężkiej pracy wśród lata nad niwą,  
Widzę hufce mych wrogów, depezących me żniwo.  
Kłamstwo, złość i oszczerstwo, z uniesieniem dzi-  
[kiem,  
Szarpały imię moje swym sprośnym językiem.  
Tyle-m marzył! — wśród zwątpień upadła otucha.  
Wściekła zawisć, ta gorzka trucizna dla ducha,  
Zabiła w sercu mojem, rozdartem, płonącym,  
Uśmiech szczęścia i ufność, co była mój słońcem.  
Błady, szukając Ciebie wśród niebios ogromu,  
Widziałem drogie trumny, jak szły z mego domu.  
Płakałem łzami syna i lałem łzy ojca,  
Gdzie inni tchną nadzieją — drzę wśród mąk ogrojca.

Nie skarzę się jednakże. Padam na kolana,  
Czcząc w Tobie surowego, lecz słodkiego Pana;  
Boś Ty, o Boże dobry, szczerych duchów Boże,  
Włożył boleści wszystkich, nędz wszystkich obrozę  
Na serce me — lecz w jednym dałeś znak litości:  
Żem nigdy niewzajemnej nie zaznał miłości! <sup>3)</sup>

(Dokończenie nastąpi).

1) Ks. VI, 26, tom II, str. 165.

2) *Amore e morte*. „Często z tej wdzięcznej uciechy taki wstaje ból wewnętrzny, że pada, bo sił nie miało, by wytrzymało człowiecze ciało kruche uporne ciosy.“ Przekł. Porębowicza.

3) Ks. VI, 4, tom II, str. 89.

Do dzisiejszego numeru *Bluszczu* dołącza się Arkusz 3 ci powieści pod tytułem: **Stargane życie**, przez Florentynę Marryat.

**TREŚĆ.** Kolenda, poezya przez M. I. — Pogawędka. — Szwab, (dalszy ciąg), Szkic do powieści, przez Teodora Jeske-Choińskiego. — Z pamiętnika nieszczęśliwej kobiety. — Lord Feuntleroy, przez Franciszkę Burnett. — Nowiny paryzkie. — Ze spuścizny olbrzyna, (dalszy ciąg), przez Miriam'a;

**Dodatek obejmuje:** Arkusz 3-ci powieści pod tytułem: **Stargane życie** przez Florentynę Marryat. — 35 wzorów ubiorów i robót z opisem. — **Sekreta gospodarskie.** — Dyspozycyą stołu

Warszawa. — Druk i Litografia S. Orgelbranda Synów, Krakowskie-Przedmieście Nr 66.

Redaktor odpowiedzialny Michał Glücksberg.

Дозволено Цензурою. — Варшава 7 Декабря 1888 года.